

36

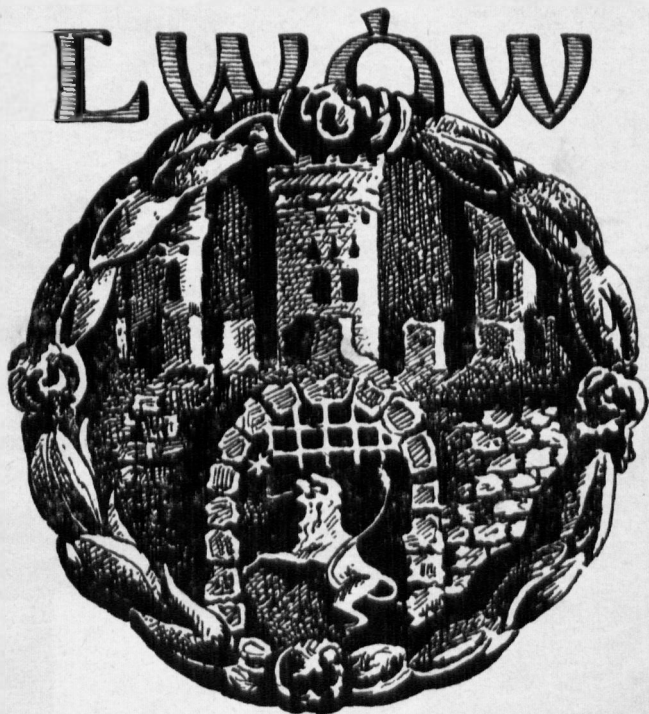
621

377

MIECZYSLAW OPALEK

BOHATERSKI

LWÓW



R. P. MCMXIX.

100

DE #

UNIVERSITY OF TORONTO

LIBRARY

ST. JEROME

Biblioteka Uniwersytecka KUL

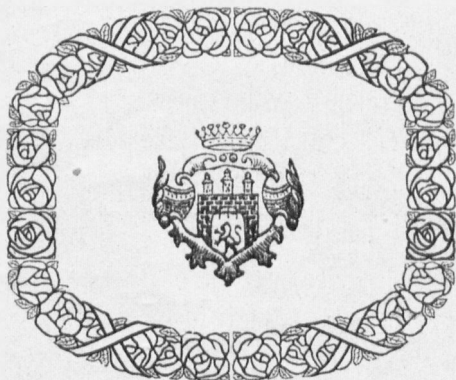


1001126058

MIECZYSLAW OPALEK.

Bohaterski Lwów

Szkice i nastroje z czasów oblężenia Lwowa w r. 1919.



LWÓW 1919. ROKU. — NAKŁADEM DRUKARNI
KRAJOWEJ SZCZĘSNEGO BEDNARSKIEGO
WE LWOWIE, RYNEK L. 9.

Treść:

1. Strzały na miasto.
2. Arsenał królewski.
3. Z dawnych kronik.
4. Artylerya lwowska.
5. Kościół załogi.
6. Żelazny szary krzyż.
7. U nas inaczej...
8. Bazylika lwowska.
9. Widma z płomieni i dymu.
10. Wielkopole.

34036 I



Przedruk z „Placówki”.

1. Strzały na miasto.

Wszystko co we Lwowie zostało z czasów minionych, wszystko co śniło już sen cichy zapomnień o tem co było i jak było ongi — drgnęło obecnie i wspomnień poczyną snuć wątki. Gmachy szacowne, patyną wieków przedziwnie malowane, dumne wieżyce, zakamarki półciemne gdzieś tam w okolicy arsenału miejskiego czy baszty prochowej, nawet te okruchy i szczątki nieistniejących już dziś całości, walające się wśród piwnic magistratu, a przeznaczone dla przyszłego lapidarjum miejskiego — wszystko to ze stanu martwoty budzi się do wspomnień dalekich. Bo takie czasy ci przyszły, że kronikarz dziś o Lwowie równie trafnie jak ongiś może napisać: *Leopolis obsessa*. Czasy wróciły burzy i potopu — że znowu strzały a huki sen z oczu spędzają jak dawniej, a je-no rozgłośniejsze i bardziej gromowe dziś one, bo też wymyślniejsze i stokroć gorsze są w wieku dwudziestym wszelkie armata.

Jest godzina południowa, niebo jasne i pogodne, płaty śniegu złoci słońce takie dobre dla zbiedzonego miasta, dla tych wszystkich co do studni ulicznych naczepać wody przybieżeli. Słońce napina mi-

lardy cieniutkich delikatnych strun i nucić im smutnym zaczyna słodką pieśń o tem, że niedługo wiosna powróci, z nią może koniec niedoli, że pęknie obręcz wrażeń karabinów dokoła miasta, a jeno pierścieni zostanie szmaragdowy zielonych wzgórz wokół miejskiej kotliny. Otworzą się znowu wrota przedziwnego Sezamu w Dobrostanach na ścieżaj, aż wszystkie skarby cudowne zeń trysną kropelkami srebrnej wody i rozszumią się w żyłach rur wodociągowych, by ożywić i ukrzepić nie załężnione i trwożne, ale omdlełe w chwilach udręki serce — miasto. Radują się ludzie, cieszą się drzewa, te na plantach wzdłuż ulicy Lwowskich Dzieci, te na Gubernatorskich wałach, te w ustroniach Góry zamkowej i inne, inne — wszystkie drzewa lwowskie i krzewy.

Aż w dźwięki rozśpiewanego słońca, w cichą radość dusz ludzkich pada grzmot jeden i drugi, trzeci i czwarty. Gdzieś staruszkę ranną dwóch odważniejszych corychlej przenosi do bramy, ktoś dziecko z nóżką strzaskaną porwał na ramiona. Opadły gałęzie i kora z poranionych drzew, w murze budynku wywalił pocisk otwór-ranę, a czerwone dokoła niego obrzeże potrzaskanych cegieł odbija zdala jak krzepnąca krew.

Artylerya nieprzyjacielska ostrzeliwuje miasto.

Drgnęły serca ludzkie, drgnęły też stare mury. Ze szczerb ich poczerniałych, które gryzie zęb czasu, z poza załomów gżemsów wygląda zdziwienie. Padł pocisk jeden gdzieś na Plac strzelecki, zadzwoniły

szyby w oknach starego arsenału królewskiego, a on co pamięta lata 1648, 1655, 1672, 1674, 1704, 1848, nie wie czyli Chmielnicki znów z ordą i kozaczymem otoczył miasto, czyli rajtarowie szwedzcy Karola XII. wtórnie tu zamęt i rozgwar czynią bitewny, czy też ożyły na nowo kartacze i palne Hammersteinowe granaty? Może mu tajemnicę strzałów i ręki, która je na miasto ciska, zwierzy kopułka na pobliskiej cerkwi wołoskiej. Może w rozżaleniu mu zwierzy, bo i ją zranił pocisk gdzieś z Zubrzy czy Sichowa wysłany. Tesame usta, które może niedawno szeptały pod ikonami cerkwi korne „Hospody pomyłuj” — tesame usta wydały komendę, pocisk na miasto poleciał i uraził dumę smukłej kopułki, wieńczącej piękne dzieło Pawła Rzymianina.

W zdumieniu toną stare mury, w zdumieniu i medytacji, że krwawa, a tak dobrze im znana przeszłość wróciła i bije wściekle oszczepem najazdu o bramy grodu. Mimo wszystko jednak mury trwają niewzruszone w posadach, kamienie martwe urastają do wielkości symbolu, lwie naprawdę są serca Lwowczyków — wszystko tu zwarte jest, silne i mężne i przymnaża chwały i splendoru odrodzonej Rzeczypospolitej.

Takim jest w tej chwili kresowy gród.

2. Arsenał królewski.

Wznosił te mury król Władysław IV. a kierował fabryką ówczesny generał artylerji polskiej Paweł Grodzicki. Budowa krzepka i solidna, przeważnie z kamienia ciosowego wzniesiona, łączy w sobie obok zalet użytkarnych i znamiona piękna. Okazała barokowa facyata nad bramą wjazdową i druga mniejsza w dziedzińcu, zdobna w maskarony na barokowych wolutach, przechowały nam potomnym myśl i upodobania minionych czasów i ludzi.

Gwarno bywało nieraz w arsenale za czasów Rzeczypospolitej. Tu gromadzono ryszturnek i zapasy wojenne, tu pod sklepieniami wspartemi na szesnastu filarach ciosowych rozbrzmiewał męski głos generałów artylerji królewskiej, owych Grodzickich, Arciszewskiego, Wolfa, Brześciańskiego i innych.

Działa różnego kalibru i rodzaju, flinty, muszkiety i rusznice, beczki z prochem i wszystko co stanowiło wogóle sprzęt wojenny, zalegało obficie wewnątrz arsenału.

Wielka krzywda spotkała lwowskie Armarium militare w r. 1704 ze strony króla szwedzkiego Karola XII., którego wojska zniszczyły w arsenale to, co w nim było najcenniejsze — wszystkie działa.

Po rozbiorach Polski rospanoszył się nad wejściem do arsenału dwugłowy orzeł austriacki. Czarno-zółtymi pręgami szpecono w nim co się tylko dało, przyczem młotek zdobywcy niszczył bez śladu

dawne pamiątkowe inskrypcje na murach i z tem wszystkim arsenał królewski stał się zabytkiem dziwnie smutnym, stał się czemś co przypominało dawną siłę i sławę, późniejszą niemoc i niewolę.

Aż w dniu 22. listopada 1918. r. powiał duch nowy po murach budynku, po mrocznych magazynach z resztkami austriackiej broni i amunicji. W arsenale stanął po 150 blisko latach znowu żołnierz polski i Armarium militare wziął w swoje posiadanie, ku pożytkowi i obronie granic Rzeczypospolitej. Prawdę tę głosi dziś niezbitcie biały orzeł w tarczy czerwonej, pomieszczony nad bramą budynku.

Nad facyatą arsenału od strony dziedzińca stała do roku 1866 przepiękna statua św. Michała zabijającego węża szatana. Dar to króla Władysława IV. Model figury dał twórca arsenału generał Paweł Grodzicki, a odlał ją z cyny ludwisarz lwowski Franke.

W roku 1866 pomieszczono figurę świętego na Wałach hetmańskich u wylotu ulicy Kopernika, ówczesnej Szerokiej. Na tem miejscu przetrwała figura do czasów europeizowania się Wałów i zaklepania Pełtwi, poczem dano jej bezpieczne ukrycie wśród cennych zbiorów w Archiwum miejskiem.

Nadarza się szczęśliwa sposobność stosownego upamiętnienia tej chwili radosnej, gdy do arsenału polskiego wchodził z powrotem po swe dziedzictwo żołnierz polski w r. 1918. Cóż może być bardziej wymownego, jeśli nie przeniesienie posągu świętego na dawne miejsce z okazji rewindykacji arsenału.

Wraca doń po latach 150, po trudach i znojach, po wędrówkach na morzach i lądach, „borem, lasem” żołnierz polski, niechże powróci i Patron święty, który z arsenatów niebieskich dobył włóczni co najostrzejszej, by nią zgładzić złe moce.

Dobrze się stało, że wybitne dzieło odlewnictwa lwowskiego znalazło schronienie i opiekę w Muzeum miejskiem w tym czasie, gdy ornamentacye fasady zarzucała tynkiem obficie, nierzadko i z nielada paszą żołdacka obca dłoń. Dziś jednak, gdy Polsce zwrócony arsenał, miejsce dla pamiątkowej figury tam, gdzie ją dźwignęła kiedyś dłoń jej mistrzów, dłoń króla-fundatora, jenerała-projektodawcy i ludwisarza lwowskiego.

Dźwignijmy posąg-symbol na mury facyaty w dziedzińcu, zaś obok wmurujmy tablicę z napisem tej treści, jako wódz wojsk niebieskich wrócił po latach pod dach ten straż swą sprawować, a wrócił z walecznym choć biednym żołnierzem polskim, który przez znoje stuletniej przeszło tułaczki, poprzez krew i łzy, poprzez obce ziemie i wody, przebił się wkońcu do własnej — Ojczyzny.

3. Z dawnych kronik.

W oblężonem mieście dzień każdy przynosi bez liku utrapień i trosk. Znają je Lwowianie dzisiejsi, znali je jednak i dawni mieszkańcy grodu, jeśli zwa-

żyć, że Lwów w przeszłości swej chlubnej przebył cztery groźne oblężenia. Ścisnął go dwukrotnie nawałą swoich hord Chmielnicki, zjeżyły się srogo dokoła niego w r. 1672. krzywe szable i buńczuki tureckie, zaczem z niemniejszą furią przypadło do wałów i baszt miasta w r. 1704 żołdactwo Karola XII.

W ówczesnych warunkach, przy niewielkiej rozległości Lwowa i odmiennych zgoła sposobach wojowania, akcesorya oblężenia miasta różniły się zasadniczo od grozy walki dzisiejszej. Mimo to powtarzają się przecie pewne zjawiska i fakty. Niech jednak mówi kronikarz.

Ksiądz Tomasz Józefowicz kreśląc dzieje oblężenia Lwowa w r. 1648 pisze na str. 119 swojej kroniki: „Za namową Rusinów zbiegłych z przedmieścia krakowskiego kozacy wodę do picia miastu odcięli, ale to niewiele mu zaszkodziło, bo w studniach miejskich, które wytryskują ze źródeł, było pod dostatkiem wody, a nadto były jeszcze inne studnie po klasztorach, gdzie jednakże przy nabieraniu wody dla natłoku czerpiącego ludu często między kobietami kłótnie się wszczynały”.

Każdy przyzna, że obrazek powyższy, z końcowym zwłaszcza jego szczegółem, odnieść można w zupełności do roku Pańskiego 1919.

W r. 1672 podczas oblężenia miasta przez Turków, „nie było w studniach wody potrzebnej do użytku, stanęły także, któremi wodę z pól płynącą sprowadzają do miasta... Ze studzien więc klasztornych

jako to: Dominikańskiej, Bernardyńskiej i Franciszkańskiej wodę źródlaną czerpali obłączeni z niewygodą dla wielkiego natłoku, i tak jak Prorok mówi, wodę naszą piliśmy za pieniądze, ponieważ gdzieniegdzie po kilka groszy za jeden dzbanuszek płacono". (Józefowicz str. 321),

A dzisiaj? Odżyła na nowo profesya woziwody i zaginiony zdało się niepowrotnie typ znowu na bruku lwowskim wyrasta. Nierzadko widzi się przecie taki rodzajowy obrazek: Pod kamienicę zajeżdża beczkowóz, a właściciel i zarazem siła jego pociągowa zwraca się do niewiast zbrojnych w konwie i dzbanki z pytaniem: Za koronę, czy dwie?..

Jak widać brak wody odczuwały dawne gospodie lwowskie na równi z dzisiejszemi. Za to pod innym względem były one szczęśliwsze od matek naszych, żon i siostrzyczek. Uciekały i one jak płochliwe sarny przed skaczącymi po dachach i ulicach kulami wroga, pociski owe jednak nie były ani w setnej części tak groźne jak te, które w piekielnem iście laboratorium wyprodukował Krupp czy Skoda.

Pisze Józefowicz, że w r. 1655 „dzień 8-go października zaczął się znowu od huku dział, które kule żelazne wszędzie po mieście rozrzucały, tak, że żony i dzieci obywatelów z wyższych miejsc do najniższych schodzić musiały". Pociesza nas jednak inny dziejopis, że kule te wcale wielkiej szkody nie czyniły. Żniwo śmierci nie było duże: „A tak w mieście, w grodzie niskim stara babina, bydłał dwoje kwi-

czące i ryczące śmierć potkali". (Zubrzycki str. 341, relacja Dobieszowskiego).

Podobnie i w roku 1672 kule tureckie dość bywały humanitarne, jeśli wierzyć relacji burmistrza i historyka Lwowa Bartłomieja Zimorowicza. Obserwował on to strzelanie nieprzyjaciela na miasto w noc pewną. Dawało ono sędziwemu pocie przedsmak jakiegoś... pirotechnicznego widowiska, to też zapisał w swej kronice: „wszystkie te kule ogniste na ognie zabawne zmieniły się, był to widok przyjemny, bez żadnej szkody dla obywateli”.

Takiej opinii o pociskach dzisiejszych i w takim jowialnym a pobłażliwym tonie, kronikarz współczesny z pewnością nie wyda!

4. Artylerya lwowska.

Zorganizowana przez Dowództwo Wojsk Polskich we Lwowie artylerya, wskrzesza tradycje dawnej artylerji miejskiej, która obok królewskiej stawiała niejednokrotnie tak skuteczny opór podczas oblężeń kresowego grodu.

Skromne były ongiś zaczątki artylerji miejskiej we Lwowie. Gdy za Kazimierza Jagiellończyka miasto murem umacniać zaczęto, zakupiono w r. 1483 na wały miejskie pierwsze działa, a były to hakownice w liczbie 19 za 26 złp. i jedna mała tarasznica za

6 złp. Niedługo potem zatoczono na forty lwowskie dużą tarasnicę i hutnicę zwaną kardynalską stąd, że darował ją miastu królewicz Fryderyk. Jego też cyfry i herby zdobyły to działo.

Z czasem rozporządzała artylerya lwowska coraz większą ilością dział najrozmaitszych, coraz też liczniej uwijali się puszkarze na miejskich wałach. Za Zygmunta Augusta posiadało miasto swoją ludwisarnię, później swój arsenał czyli cekauz, prócz arsenału królewskiego koło Dominikanów.

Lwów — strażnica kresowa i przedmurze opiera się tylekroć i skutecznie wichurom, co zda się niepowstrzymane szły od wschodnich rozłogów, rozpętane hen wśród stepowych burzanów. Na zakusy wroga odpowiada Lwów hukiem swoich armat donośnym tak w pamiętnym roku 1648, jak i w 7 lat później. Chmielnicki „krwawy gość” odstępuje od murów miasta, choć prowadził na nie nieprzeliczone zastępy kozaków i Tatarzyna, a później sprzymierzonych z sobą Rosyan. Król Jan Kazimierz chwali męstwo obrońców, a dla konfraterni strzeleckiej spieszy w r. 1651 z przywilejem, w którym artyleryi miejskiej dank należny zanosি za to „iż odpędzili od murów wiarołomnych i buntowniczych kozaków, oblęgających miasto przez kilka tygodni, dzięki umiejętności i zgrabności w strzelaniu, iż małą garstką wystarczyli na taką rozległość wałów”.

W istocie artylerya miejska działała dla obrony Lwowa wówczas bardzo wiele. Otoczona należytą opie-

ką miasta, była dumą panów rajców, Magistratu i całej społeczności Lwowa. Kierowana umiejętnie przez generałów artylerii królewskiej, związała ze sobą takie sławetne nazwiska w dziejach obrony Lwowa jak Krzysztofa Arciszewskiego i obu braci Grodzickich.

Dziś we wskrzeszonej Rzeczypospolitej, odżywają dawne tradycje w utworzonej obecnie dla obrony kresowej stolicy artylerii lwowskiej. Pułk czwarty artylerii ciężkiej kilka liczy baterii, a z tych trzecia największe posiada działa, na najdalsze też dystanse wysyła swoje głośnie pozdrowienia wrogowi. Dwie armaty, siostrzyce dawnych tarasznic, szrubnic, bombard, kartaunów, notszlangów, hartownic i jak je tam jeszcze zwano — przemówią od czasu do czasu donośnym swym głosem, od którego gromowe iście echo idzie po świecie. A wówczas czuje się w swoim żywiole i raduje się szczerze komendant baterii porucznik Jan Durski. Taka sama radość błyskała w siwych oczach stryja jego śp. Antoniego, zasłużonego naczelnika, kiedy podczas zlotów sokolich patrzył na nieprzeliczone szeregi szarych żołnierzy z plamą amarantu na piersiach. W innych okolicznościach i czasach rodziła się radość stryja, w odmiennych cokolwiek warunkach budzi się zapał bratanka, z jednego jednak i tego samego wypływają źródła, a to z serdecznej miłości Polski i rodzinnego miasta.

Kieruje porucznik Durski lufy swych dział dalekonośnych w myśl rozkazu to w stronę równin za żółkiewską rogatką, to ku romantycznym ostępom

Lesienic i Czartowskiej Skały, to znów w kierunku nieszczęsnych Sokolnik—jak każą. Połykają posłuszne rury śmiertcionośny ładunek, by żygnąć nim w danej chwili tam gdzie należy i przemówić tak głośno, jak one tylko umieją. Błysk i huk, przeciągły pojęk szrapnela, momentalne przesunięcie się lufy na swem łożysku i pocisk poleciał, prując powietrze. Ruszył się ogon armaty, zarył się głębiej do ziemi, ale już pracowita obsługa artylerzycka doń przypadła i ustawia go tak, jak tego „cel pomocniczy” wymaga. W paszczę lufy ugrzązł nowy pocisk, za chwilę poleci w swą drogę... bateria trzecia przy robocie.

Podczas oblężenia Lwowa przez kozaków w roku 1655 dał obrońca miasta generał artylerji królewskiej Krzysztof Grodzicki Chmielnickiemu prześliczną odpowiedź. Temi samemi słowy huczą dziś rozgłośnie naokół armaty lwowskie, a słowa te brzmią: „Tego powietrza, którem tchnę i tego kawałka ziemi, która ma być moim grobem, nikt mi nie potrafi wydrzeć”.

5. Kościół załogi.

Jezuitem sprowadzonym przez arcybiskupa Jana Dymitra Solikowskiego w r. 1584 do Lwowa, nie odrazu było danem wznieść własne ołtarze. Stały temu na przeszkodzie długie procesy z żydami o plac budowlany. Dopiero możne protekcyje szlachty i hojny zapis Elżbiety z Sieniawskich Gostomskiej sprawiły, że

w r. 1610 poświęcono kamień węgielny pod budowę świątyni. Około r. 1635 wykończono ostatnie roboty i kościół jeden z największych we Lwowie, dzieło stylu nowego, począł ściągać do wnętrza tłumy pobożnych. Różnił się on w tym czasie cokolwiek wyglądem od kościoła w stanie dzisiejszym. Nad dach świątyni wybiegała wieża, najwyższa wówczas z wież lwowskich. Dziś jedno tylko jej piętro zostało, bo piętra wyższe, grożące zawaleniem, zniesiono w r. 1830 na rozkaz rządu.

Miał kościół możnych protektorów, oni też obok tłumy prostaczków krzepili tu dusze modlitwą. Modlił się tu Władysław IV, Jan Kazimierz, a także zwycięzca z pod Chocima i Wiednia. Tu padł na twarz przed ołtarze po zwycięstwie nad Rakoczym ów hetman, co to pięknie zwykł mawiać o sobie, że „ani z soli ani z roli“ nie urósł. Tu codzień zachodził inny hetman, w pamięci i kronice Lwowa tak dobrze zapisany — Stanisław Jabłonowski. Chwała oni wszyscy Rzeczypospolitej i honor prawdziwy!

Ale nie stało tych mężów hartu i żelaza, nie stało też po nich i Rzeczypospolitej. A wówczas zarojła się świątynia Pańska żołądactwem obcem, zajaśniały obce godła, nienasze sztandary. Bo po kasacie zakonu przez rząd austriacki, oddany został kościół wojskowości na nabożeństwa garnizonowe.

Mijały lata długie, gasły niejedne nadzieje narodu, nowe się rodziły, pokolenie każde szło przez krew i łzy. Tu w świątyni na ziemi polskiej wciąż

błyszczał mundur obcy i niejednokrotnie szept ulatywał... Vater unser...

Tak było długo, długo, do niedawna. Wszakże pamiętacie: Po skończonem nabożeństwie ustawia się przed kościołem orkiestra przeważnie z Czechów-muzykantów złożona. Z kościoła wysypuje się wojsko, ustawia się w szeregi. Pada komenda, oddziały ruszają a przygrywa im ochoczo muzyka w takt... marsza Radeckiego...

Dziś już te tony niepowrotnie przebrzmiały, a obrazek wystraszonych żołnierzy stał się jedynie wspomnieniem.

Pierzchła zimora przeszłości i po tem wszystkim kościół OO. Jezuitów stał się dziś piękniejszy i droższy sercu. Biały orzeł zwycięski rozpostarł i nad nim szerokie i przytulne swe skrzydła, bo wszak to... kościół załogi polskiej we Lwowie.

Ostatnio modlili się w nim żołnierze polscy o spokój dla dusz tych towarzyszy broni, co legli w boju z Austryakami i Prusakami rok temu pod Rarańczą i Kaniowem.

6. Żelazny szary krzyż.

Na redutę Piłsudskiego, do szkoły Sienkiewicza czy Kadeckiej, na Górę stracenia czy odcinek Bema, nie nuda życiowa cię pchnęła żołnierzyku lwowski, ale miłość Polski serdeczna, nakaz duszy płomiennej

i widma blade ojców i dziadów, co Polsce oręż nieśli ochotnie w potrzebie. Nie poszedłeś w blasku szamerunków i szlif, nie szumiały nad tobą sztandary. Stałeś na placówce w bluzie robotniczej czy w gimnazjalnym mundurku. Szedłeś do ataku nierzadko z próżnymi rękami, by wrócić z karabinem... zdobytym. Nie Legion imię twoje, lecz Garstka.

I garstką mizerną stawiałeś czoła wrogowi przez trzy długie tygodnie, wydzierając mu ulicę za ulicą, budynek za budynkiem.

Słuchaj żołnierzu polski! Dziadom twoim, gdy po trudach szli w zacisze domowe, pozostawał prócz szacunku rodaków i pięknych wspomnień obozowych, drobiazg kochany i bezcenny, odznaka za waleczność, ów krzyżyk nieduży *Virtuti Militari*. Ile ciężkich chwil w życiu opromienił im ten krzyżyk, ile łez cichego wzruszenia nań padło, ile szlachetnej dumy ozłociło go glorią najjaśniejszą!

Dla nas potomnych stał się ten krzyż-pamiątka niby prześwięty tajemny amulet. Kto wie czy w chwili, gdy pacholę nieletnie nań patrzy zadziwionymi oczyma i odcyfrowuje litery łacińskiego napisu, czy w chwili tej nie spływa z ramion krzyżyka tajemna moc w duszę dziecka, budząc w nim przyszłego bohatera narodu, spadkobiercę czynów ojców i dziadów.

Słuchaj żołnierzu ze szkoły Sienkiewicza czy Kaddeckiej, z reduty Piłsudskiego, czy Góry stracenia. Żelazny szykują ci krzyżyk z herbem miasta twojego wpośrodku, odznakę ci gotują zaszczytną, żeś bronił

Lwowa w pamiętnym miesiącu listopada 1918 roku. Ozdobi twą pierś ta odznaka na dowód, żeś nie wyziębiał w piersi ukochania dla Polski, żeś umiłował męstwo i rycerski czyn, stając nieustraszenie w szeregu, któremu było na imię nie Legion, lecz Garstka.

7. II nas inaczej...

Po cudnych plantach krakowskich, z obrzmiałych pąkowień gałązek wiew idzie życia i szczęścia.

Idzie radość tajemna, wiosny bliskiej drżenie i przecucie. Chłoną je trawy mizerne i weselsze są gołębie przy Maryackim kościele.

Na korsie krakowskiem wąż wije się barwny, ruchliwy, a polata nad nim rozgwar tysięcy słów, kaskada beztroskliwego śmiechu i westchnień tłumiony niepokój.

W bajecznie kolorowem wnętrzu Sukiennic pyszną się kramnice całym bogactwem przedwojennych towarów. Wśród nich stopy białego pieczywa różnej wielkości i kształtu, trzeszczące w rękę bułeczki. Gdyby tu przyprowadzić dziecko lwowskie, zaklaskałoby z pewnością na ten widok w rączki z radości, a może przetarłoby piąstką oczka, by łatwiej poznać: sen li to czy jawa.

W cukierni Michalika „lwowską“ przewanej, natłoczone stoliki, przy nich ciżba gości cywilnych i w mundurach. W świetle dyskretnie ukrytych, kun-

sztownych lamp, wśród snujących się wstęg dymu z papierosów, układa się całe przebarwne wnętrze z gośćmi i chaotyczną mieszaniną karykatur na ścianach w kapryśne miraże, czy też może w udatną alegoryę... beztroski. Czasem tu i ówdzie potoczy się dyalog o sztuce i literaturze, a z podsłyszanej rozmowy dowiadujesz się, że w Krakowie ukażą się „tymi dniami“ dwa nowe pisma, a to ilustracja „Wianki“ i drugie aż ...sztuce kinematograficznej poświęcone!

Lecz... jest już po wojnie, hasła odbudowy sztuki na czasie, a ci goście liczni, zapewne z sympatyi dla walczącego Lwowa, obsiedli tak tłumnie stoliki w cukierni Michalika „lwowską“ przezwaną.

Piers z ulgą wreszcie odetchnęła... już jest po wojnie. Cóż, że kilkadziesiąt mil na barbarzyńskim czy kołtuńskim, czy tromtadrackim wschodzie kwiecie czerwonej krwi znowu wykwitło! Cóż, że mogli przybywa! Zaszumiała nam fala wiślana cudowną wieścią, że Sejm polski w Warszawie, zaszumiały nam białe orle skrzydła na odwachu w rynku naprzeciw Gebethnera, policyanci na ulicach służbę pełnią w maciejówkach! Boże Boże! Wawel, dzięki Szysze Bohuszowi coraz piękniejszy, piękniej też stokroć rozbrzmiewają hejnały z wieży Maryackiej pod tem polskiem, naprawdę już polskiem niebem!

A we Lwowie?... My tu wiślanej fali nie mamy ni hejnałów. Nic nas do snu nie ukołysało. Nie mamy Wawelu, a przeto nie popadliśmy w hypnozę, nie upoił nas czar i majestat murów królewskich i nie



zataczamy beznadziejnych kółek tanecznych na miejscu w takt sennej muzyki Chochoła.

W miasto biją granaty, pękają nad niem szrapnele, a żołnierz trwa na posterunku, choć już kilkakrotnie winien być zluzowany. I żołnierz wytrwa, jeśli już los padł taki, by on krwią swoją zmasał winy tych wszystkich, co w Polsce dziś obojętni, dziwnie spokojni i niefrasobliwi.

Zwaliście nas niekiedy tromtadratami. Dziś opinia wasza łaskawsza. Prawicie coś chwilami o nieustraszonych zagończykach, o kresowych rycerzach, o spadkobiercach Baru, Zbaraża czy Częstochowy.

Lecz... serce w was bije jeszcze... i do cna źli nie jesteście. Wierzmy, że gdy my tu na reducie wysuniętej padniemy, nie poskąpicie nam laurów, dacie dużo, jak dużo! Nazwiecie nas żołnierzami Leonidasa i księgę dziejów ojczystych, której przybędzie nowa prześwietna karta, obnosić będziecie z pompą i namaszczeniem chełpliwem, bo przecie ciągle macie wiele w sobie ...z „pawia narodów“...

*

Wiosenna dobra godzina puka do wrót przyrody. Promyk słoneczny, skrzętny klucznik przybywa i wrota otwiera.

Na cmentarzu lwowskim od strony Pohulanki płacheć gruntu wytyczony przez gminę, na wzniesieniu, w słońcu skąpany. Tu nieuczony śpiew płacze... Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi... Sypią się grudki dobrej ziemi ojczystej, otulają pieściwie tru-

mnę, boć nie człek zwyczajny odpocząć tu dziś przyszedł, a bohater, co ze wzgórz lwowskich szaniec uczynił dla siebie a ustąpił zeń... przez śmierć jedną zepchnięty.

Na cmentarzu łyczakowskim pękają białe brzozy, bo spieszno im liściem się okryć i zielonymi warkoczami otulić mogiłę „nieustraszonego zagończyka“.

Zaś po cudnych plantach krakowskich, z obrzmiałych pąkowieć gałązek baśń idzie życia i szczęścia. Do piersi ludzkich przypada, sny o kochaniu przywodzi, rozdzwania śmiechu kaskady i budzi tajemne westchnienia. Ponosi się wszechwładna ponad rojne ulice, wciska się do wnętrza „Michalikowej jamy“, cukiernią „lwowską“ przewanej.

I pierś z ulgą, lekko oddycha: Ach, już po wojnie, po wojnie...

8. Bazylika lwowska.

Choćby ścichły nagle strzały dokoła miasta i Bel-lona opuściwszy na srogą twarz przyłbicę niespodzianie umilkła, choćby tłumy ruchliwe zaległy jak dawniej w potokach słońca ulicę lwowską a spokój i bezpieczeństwo rzuciło im słodki uśmiech radości na li-ca — to jednak w mieście pozostanie tu i ówdzie coś, co dzieje jego smutne opowiadać będzie dalej i skargą zawodzić żalostną na niezastużony los. Pozostaną zranienia i kontuzye murów lwowskich jak

surowy akt oskarżenia na tych, co z premedytacją i zimną rozważą, bez drgnienia ręki, w dziwnej zgodzie z sumieniem stali na miasto zniszczenie i śmierć.

W pamiętnym dniu 5. marca, podczas eksplozji amunicji na dworcu czerniowieckim, rozszalała nad miastem orgia pocisków nieprzyjacielskich. Padały obficie na krańce miasta, biły w arterye śródmieścia, a jeden z nich ugodził w katedrę, wyrwawszy spory kawał muru ze szkarpu absydy, na której kiedyś pobożny senat i lud lwowski wymalował wizerunek Bożej Rodzicielki jako „matki nadobnej miłości i nadziei“.

Odłamki cegieł i pył wapienny zasłały obficie bruk dokoła, bazylika jednak z wyniosłą swą wieżą trwa dalej mocniejsza od furji najazdu. Ojczysta przeszłość strumieniem ożywym piękna dalej z niej bije. W ciszy wyniosłych łuków zda się szeleści uroczyste jakiś świetnie iluminowany pergamin z nazwiskami Boimów, Kampianów i Domagaliczów, szeleszczą karty kancyonału z precudną strofą Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie, śpiewaną tyle lat i przez tyle ust pod sklepem bazyliki lwowskiej w rocznicę narodowych świąt.

Zresztą nie obce starej katedrze wraże pociski. Na wieczną rzeczy pamiątkę zawieszono u murów absydy kulę pochodzącą z czasów oblężenia miasta przez Turków w r. 1672. Pomieszczony pod nią napis łaciński objaśnia jej znaczenie i głosi, że kula ta 36 funtów waga wpadła do kościoła przez okno od

wschodu i nie czyniąc żadnej szkody, zatrzymała się przed krucyfiksem w presbiterium. Działo się to 29. września „kiedy właśnie noc św. Michała Archaniola srożyła się straszną burzą z błyskawicami i piorunami“.

Obecnie przybyła Bazylice lwowskiej druga taka osobliwość w postaci odłamka pocisku, wystrzelonego na miasto w dniu 5 marca. Jest on wprawiony w tablicę z napisem: *Ex obsidione Ruthenorum A. D. 1919. die 5. Mar.* Tablicę wmurowano w tym miejscu gdzie pocisk uszkodził mury Katedry, a samą restaurację dokonano bardzo racjonalnie. Cegiel bowiem na nowo wmurowanych nie zarzucono tynkiem, tak że zdala odbija na szarem tle tynkowanych murów spory trójkąt, dający pojęcie o rozmiarach wyrwy, spowodowanej wrażym pociskiem.

Gdyby w ten sposób pojęto i przeprowadzono restaurację uszkodzonych murów we wszystkich gmachach publicznych i domach prywatnych, powstałyby ciekawe i z czasem zabytkowe pamiątki z ciężkiego lecz chlubnego okresu miasta, w którym ono wśród męki, lecz i hartu wytrwania zapracowało rzetelnie i nie po raz pierwszy na chlubne miano „Bohaterski Lwów“.

9. Widma z płomieni i dymu.

Nie raz i nie dwa wcisnęły się do sielskich w sady otulonych dworków przedmieść lwowskich bla-

de trwogi i lęk. Nie raz i nie dwa w kotlinie lwowskiej zamęty się wszczęły bitewne, szczęk się żelaziwa rozdzwoił, a wtórem mu była rusznic palba zawzięta i armat odgłosy. W spokojne życie przedmieścia padał wówczas strach, twarze stawały się osowiałe, niemoc ogarniała ramiona, że opadały bezsilne. Gdzieś kołowrotki cichły po chatach, milkła przy nich pieśń. Niewiasty cisnęły się do świątyni pańskich, u figur przydrożnych bolesne klękały. Z rozszerzonych oczu dziecięcych wyglądał lęk. Piastunki nie straszyły już dziatwy pohańcem, bo wróg ten (w złą może godzinę wymówiony) tuż, tuż był pod miastem... Uporczywiej i natrętniej jak zwykle

Śmierć się wiała u płotu
szukająca kłopotu...

A wroga zapowiadały zazwyczaj znaki jakoweś tajemne na niebie i ziemi. Jawiły się jak złowroga awangarda obłęźniczych hord. Już to wszystko co hordy te wyprzedzało, było straszne, niezwykajne i urastało w wyobraźni ludu do rozmiarów apokaliptycznych widziadeł.

Miotły na niebie i szczera krew;
Psy wyją, świszczą wierzchołki drzew;
A po rosistej, zielonej łące
Dzwony pływają na gwałt bijące...

Więc pod ciężarem utrapień i zmory straszliwej ogarniał się jako tako człek wszelaki z przedmieścia, zabierał co mógł z dobytku i ku miastu bieżał, któ-

rego broniły szerokie fosy, mocne wały i baszty, lub też ochrony szukał w obrębie murów Zamku wyższego.

Zaś na opustoszałe przedmieścia przyciągały wówczas straszliwe i ponure widma... z płomieni i dymu.

Tragedyą prawdziwą kwitnących przedmieść lwowskich było to, że ilekroć napastnicy pod Lwów podstąpili, z wiechciem słomy, krzesiwem i hubką skradał się pod ciche domostwa przedmiejskie nie kto inny, jak własny miastowy człek. By utrudnić bowiem wrogowi ataki na miasto, nakazywały wyższe racye strategiczne usunąć to wszystko, co na zewnątrz murów dawało oblężającym wojskom krycie dla ich ruchów i przedsięwzięć. Najwალniejszym sprzymierzeńcem a zarazem posłusznym wykonawcą woli komendanta miasta stawał się w tym wypadku ogień. Niedługo czasu potrzebował by strawić doszczętnie przedmieścia i rokoszną sielankę za murami miasta z płonami sadów, pasiek i winnic zamienić w upiorną przesmutną pustkę.

Tak było w r. 1648 podczas pierwszego oblężenia miasta przez Chmielnickiego. Pisze kronikarz, że podczas pożaru „nieba ani obłoków przed wysokim płomieniem i straszniemi bałwanami dymów niedojrzeć było. Noc w dzień, żeby szpilkę był zobaczył, a dzień w noc przez wały gęstych dymów, które promienie słoneczne zaciemniały, obrócił. Poglądając na takie spectaculum, a dość żałośne, serce się krajało, strach niejednego obejmował, twoga wielom ostatnie pożegnanie z tym światem na pamięć przywodziła,

wszyscy struchleli, wszyscy pełni żalu, wszyscy łachnąc i nie bez ciężkiego jęczenia na ten czas zostawali, kiedy po kamienicach różnych, po basztach i bramach wyniosłych, po ulicach i zatyłkach gęstych prze-
rażliwe głosy o uszy obijały się: „Gore dla Boga!”.

Dwa tygodnie wróg popasał wówczas pod miastem, niczego nie wskórał i odstąpił. Lwów odetchnął, zaś pustka przedmiejska ożywiła się i zaroiła niebawem od cieśli i muratorów. Odbudowywały się powoli jurydyki szlacheckie, zajaśniały w słońcu dworki przedmieszczan, a ziemia macierz miłująca, uśmiechnęła się zielenią wszelaką srodze umęczonemu człękowi. Lecz nie na długo, bo na lat siedm zaledwie. Przyszedł Chmiel znowu pod miasto, a wtedy komendant Lwowa Krzysztof Grodzicki, generał artylerii królewskiej rozkazał „omni securitati tej utrapionej metropolii zabiegając, przedmieścia w budynki okazałe zawzięte, żołdatom swoim obalić i wulkanem trawić, sady fruktami obciążone, winogrody daleko po górach rozkrzewione, lasy pobliskie i pasieki rokoszne zno-
sić i wycinać”.

Tosamo stało się w r. 1672 podczas oblężenia Lwowa przez Turków. „W nocy z 23 na 24 (września) wyprawiono z miasta podpalaczy na przedmieścia, którzy podłożywszy ogień, pobliskie miastu domy zajezdne, karczmy, dworki i inne drewniane zabudowania w przynę obrócili”.

Taka już była nieszczęsna dola przedmieść lwowskich. Nie oszczędzili ich obrońcy Lwowa również

podczas najazdu Szwedów w r. 1704. Spłonęło wówczas częściowo przedmieście krakowskie i halickie. Pastwą płomieni stał się również kościół Podniesienia św. Krzyża, pochodzący z 16. wieku i położony w okolicy dzisiejszego placu halickiego.

Poszedł śladami swych poprzedników także królewski komendant Lwowa z r. 1769 Felicyan Korytowski. By konfederatów Barskich nie dopuścić do miasta zastosował tyle już wypróbowaną taktykę i podpalić kazał domy leżące w okolicy furty jezuickiej. Wiatr kierował wówczas płomienie ku południowi i wbrew może intencji komendanta spłonęła znaczna część dzielnicy halickiej wraz z wieżą kościoła Karmelitów trzewickowych.

Niedługo po tym pożarze, za czasów już „rewindykacji“ Galicyi, rozebrano baszty i mury miejskie, a z tem przedmieścia dotychczas za obrębem miasta leżące złąły się z niem, tworząc duże miasto, podzielone na „becyrki“. Znikła średniowieczna struktura Lwowa. Nowy władarz kraju i miasta modernizował je, by godnie odpowiadało szumnej nazwie „Hauptstadt der Königreiche Galizien und Lodomerien“.

Epopeja miasta skończona jednak jeszcze nie była. Wojenną wrzawę wśród gorączki wznoszonych barykad niosła z sobą wiosna ludów i przyniosła ją również do Lwowa.

W formacyi gwardyi narodowej odżyła jakaś daleka reminiscencya wojska polskiego. Budziły się nadzieje, rozplłomieniały się serca zapałem. Wróg jednak

czuwał i ustawił na wzgórzu koło pałacu arcybiskupiego, na Wysokim Zamku, na placu Castrum, pod Bernardynami, oraz w dzisiejszych ulicach Ruskiej, Sobieskiego i Halickiej armaty. W ponury ranek 2. listopada 1848 roku przemówiły one imieniem reakcyi wiedeńskiej do Lwowian, śląc na miasto palne granaty i race kongrewskie. W ciągu dwu godzin wyrzuciły paszcze armatnie sześćset czterdzieści i ośm pocisków na Lwów. Z łaski Hammersteina i wiernych jemu Deutschmeistrów ożyły we Lwowie znowu ponure widma z płomieni i dymów. Od pocisków armatnich zapalił się stary teatr, ratusz, wszechnica, kościół potrynitarski i kilka domów prywatnych. Posępne zgliszcza tłały przez trzy doby.

Lata ostatnie krwią ziemię lwowską na nowo obmyły, krwią też nieraz ubarwiły niebiosa. Łuna gorejąca nad miastem przyświecała Rosyanom podczas odwrotu w r. 1915, ona też „szczera krew na niebie“ niejednokrotnie w ciągu dni ostatnich wzruszyła nam serca niejedną sokolnicką tragedją.

10. Wielkopole.

Po raz pierwszy zjechali gromadnie do Lwowa w dniu 13. sierpnia 1871 roku. Przywieźli z sobą grudki ziemi wielkopolskiej, by tu je rzucić na urastający Kopiec Unii lubelskiej. Z zachodnich kresów Rzeczypospolitej jechali na dalekie wschodnie rubieże

z duszą pełną miłości. Jechali by w gościnie u braci lwowskiej zbolełe serca pokrzepić, bo już wówczas wichur teutońskiej furji targać poczynał węglami ich chat Piastowych i ukute w r. 1865 twarde ustawy rzucały szkołę polską na pastwę germanizacyi.

Lwów prawdziwie gościnny i z natury swej pochopny do wszelakich obchodów i manifestacyi, witał przybyłych serdecznie jak tylko mógł i umiał. Dnia 13. sierpnia popołudniu wyruszył wspaniały pochód na Wysoki zamek. Tu po przemówieniu Smolki nastąpił prześliczny symboliczny obyczaj sypania przywiezionych prochów ziemi ojczystej z różnych stron Polski i z obczyzny. Z mogił Krakusa, Wandy i Kościuszki, z cmentarzy sybirskich, z Solury i Zurychu, z grobu pięciu poległych na Powązkach, z pobojowisk pod Raclawicami i Radziwiłłowem padły kruszynki ziemi na wznoszący się pomnik wielkiego aktu w Lublinie. Z niemi pospołu posypały się też grudki ziemi wielkopolskiej, rzucone na kopiec dłonią Ignacego Moszczyńskiego.

Trzy dni trwała gościna Wielkopolan we Lwowie. Na ich przyjęcie urządono festyn na Strzelnicy, przedstawienie „Krakowiaków i Górali“ w teatrze i wreszcie wspaniały bal pod ogromnym namiotem rozpiętym w ogrodzie miejskim. Nawiasem dodać należy, że nie próżnowała w tym czasie soldateska we Lwowie. Oto na parę dni z rządu zarządzono ostre pogotowie garnizonu w koszarach!...

Później już za czasów naszych widzieliśmy Wielkopolan we Lwowie podczas imponujących zło-
tów sokolich w latach 1892, 1894, 1903 i następnych.
W pochodzie na wzorzystej rozwiniętej wstędze
jasnych czamarek i amarantowych koszul, tworzyli
oni plamę szarą, bezbarwną. Niewymyślny skromny
strój, granatowa maciejówka i popielaty mundur,
zdawały się być najlepszą rekomendacją dla tych, któ-
rzy nie goniąc za lśniącem efektem, czy „brzmiącym
cymbałem“ słów, jęli się żmudnej i w cichym a nie-
zmożonym uporze poczętej pracy u podstaw.

W szmerach sztandarów, wśród tonów orkiestry
maszerowali skupieni i pewni siebie, a że przybyli
ze ziemi na którą żelazną obręcz kuł Bismarck, że
ciągnął za nimi płacz dzieci wrzesińskich i brutalny
„befel“ rugów pruskich — otwierały się szerzej dla
nich serca Lwowian i ze zwartych szpalerów publi-
czności na ulicach, z przystrojonych balkonów i okien
wybuchały gromkie okrzyki serdecznych pozdrowień:
„Wielkopolanie niech żyją!

Dziś znowu ich mamy wśród siebie. W innych
czasach, w innych zgoła warunkach. O ramię silne
oparli karabiny, zamaszystą rogatywę nałożyli z fan-
tazją na głowę i tak do nas gdyby z wiatrem przy-
gnali z kresów zachodnich Rzeczypospolitej na dale-
kie wschodnie rubieże. Śnią im się białe orły kró-
lewskie, które kiedyś Lech znalazł w ich ziemi... Wieść
do nich przybieżała, że zagrożone jest gniazdo tych or-
ląt na wschodzie dalekim. I pospieszyli gniazdo osłonić.

W r. 1871 przynieśli do Lwowa ziemię z swych pól, by ją z grudkami ziemi lwowskiej przymieszać. Dziś inny niosą dar, niosą skarb ofiarnej krwi. Wsiątka ona w głąbę lwowskich pól i sprawia, że Poznań i Lwów przestrzenią dalekie, sercem stają się bliskie i wzajem sobie oddane.





DRUKARNIA
SZCZESNEGO
BEDNARSKIEGO
LWÓW
RYNEK L3

34036

